Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 38. Poznań, dnia 16. Grudnia. 1839.

Literatura zagraniczna.

Des idées Napoléoniennes
par le prince Napoléon = Louis Bonaparte.
Paris, 1839.

(Ciąg dalszy.)

Pod względem wewnętrznéj polityki, było sztuką panowania Napoleona, że nigdy nie działał w interesie i widokach jednego tylko stronnictwa; i owszem najsprzeczniejsze z sobą żywioły socyalne łączył, i tém połączeniem szkodliwe w opinii ostateczności uchylał. I tak, wyznaczył pensyą siostrze Robespiera i matce księcia Orleanu, dzisiejszego króla Francuzów; obok posągów generałów Hoche, Joubert, Marceau, Dugommier, sprowadził do hotelu inwalidów statuę Kondeusza, zwłoki Turennego, serce Vaubana; powrócił narodowi rojalistów i Lafayetta; starą i nową Francyą pojednał urokiem dawnych tytułów, a nowych zasług. Autor przyznaje, że panowanie Napoleona było absolutne, że od niego jako od najwyższéj i nieodpowiedzialnéj głowy wszystkie władze krajowe zawisły; ale dodaje, że tylko na ten sposób można było ująć na cugle rozburzoną Francyą i stawić czoło uzbrojonéj Europie, idącéj na zagładę rewolucyi; że władza takowa była tylko tymczasową i po przywróceniu zupełnego pokoju byłaby ustąpiła miejsca najwolniejszym instytucyom, które cesarz nadać narodowi zamierzał. — Zdaje nam się atoli, że za długo trwało takowe interimisticum; że były sposobne do zniesienia go chwile, kiedy dawno już uspokojona była Francya, kiedy cesarz stał na szczycie sławy i dyktował pokój upokorzonym mocarstwom stałego lądu Europy; że wreszcie wtenczas dopiero przychylał się do nadania konstytucyi Francuzom, kiedy już gwiazda szczęścia jego zaszła, i groźna potęga upadła.

Autor w rozdziale następnym przystępuje do drugiéj głównéj strony działań Napoleońskich, do zewnętrznéj polityki. Ciągłe wojny, zabory krajów, obsadzanie ich członkami rodziny cesarskiéj, wyniesionymi na tron, w końcu sprawa Bajońska w interesach Hiszpanii; oto zarzuty, z których synowiec stara się stryja wytłómaczyć i pokryć je płaszczem wyższych, nie doszłych do skutku celów. Dowodzenie zaiste trudne, aby je choćby tylko uprawdopodobnić, w którém się autorowi, jakby na przekorę wymkło mimowolne zdanie: »*on n'aime pas plus au delà du Rhin les gouvernements imposés par nous, que nous n'aimons ceux, que les étrangers nous imposent.*« W tych słowach cała leży prawda poświadczająca chybione usprawiedliwiania, i cały sekret upadku Napoleona, który nam autor tak pięknie w kilku rysach skreślić umiał.

»Wielkie plany Napoleona iszczą się; cały zachód Europy idzie przeciw Moskwie. Lecz niestety, jedna zima niweczy wszystko! Europa Napoleońska nie może się już ostać. Po ogromie klęsk sądźmy, jakiby był olbrzymi z pomyślności wypadek! Zadaniem wielkiego męża już nie są dalekie zamiary, ale jest obowiązek zasłonienia Francyi i jéj związkowych. Pole bitwy od Bereziny przenosi się aż na wzgórza Montmartre. Pokoju! pokoju! wołają nikczemni, którzy milczeli dotąd. Ale cesarz nieprzystępny dla rad małodusznych; z wszystkich stron już krew z ciała się toczy, on nieugięty woła: śmierć raczéj, niżeli pokój haniebny! umrzeć wolę, jak być cesarzem Francyi, mniejszéj, aniżelim ją odebrał! Raz jeszcze słońce szczęścia zabłysło!... lecz niebawem zszedł dzień pod Waterloo!... Tu głos każdego Francuza milknie, i łzy mu same zostają; łzy rzewne, aby płakał ze zwyciężonymi i ze zwycięzcami razem, którzy pożałują kiedyś tego, iż strącili jedynego męża, który się podniósł na pośrednika dwóch wieków, idących z sobą w zapasy!«

Ciągłe boje Napoleona autor uniewinnia zdaniem Migneta, że nie ten sprawcą wojny, który ją wypowiada, ale ten, który ją wywołuje. Jego zmuszano wciąż do wydawania walki. Szczęśliwy i biegły w boju łamał jedne mocarstwa po drugich, ale ludy zawojowane uszczęśliwiał. Autor przywodzi po krótce, co zwycięzca dobrego uczynił dla Włoch, Szwajcaryi, Hiszpanii i

państw Niemieckich; a w końcu, jakby czuł, że tu najsłabsza strona, i dla Polski: »Polska, (powiada,) owa siostra Francyi, zawsze poświęcająca się, zawsze wielkomyślna, mogła spodziewać się rychłego odrodzenia; albowiem cesarz wzniósł księstwo Warszawskie, które miało być zawiązkiem całkowitéj narodowości.« Lubo na niejedną płytkość w piśmie ks. Ludwika Bonapartego natrafiliśmy, nie możemy przecie sądzić, aby powyższe zdanie w dobréj wierze powiedział. Nie takiego wynagrodzenia spodziewał się naród za niesłychane poświęcenia się dla sprawy Francyi; nie dość, że się widział zdradzonym przez Napoleona w sprawiedliwych oczekiwaniach swoich, ale jeszcze przyjąć odeń musiał nie jedno poniżenie, widzieć potyraną godność swoją. Prawdą jest atoli, że dobrodziejstwa, którego sobie sam nadać nie umiał, przyjąć musiał z żelaznéj ręki mocarza, to jest: zniesienie niewoli włościan i prawodawstwo cywilne francuzkie. To obojgo zaprowadziła konstytucya w. księstwa Warszawskiego. W godzinę ją cesarz podyktował księciu Bassano, a powołana do Drezna kommissya rządowa narodu, po to tylko tam przybyła, aby nasłuchać się słów dość cierpkich, i w pokorze podziękować za narzucone dzieło swobód narodowych. Myli się więc autor, albo chce omylić mniéj świadomych rzeczy, gdy przechwala »że chociaż cesarz mógł dowolnie rozporządzać przeznaczeniem tylu ludów, to przecież chciał je mieć zawsze współstanowiącemi prawa, które im nadawał.« — Jakie było współuczestnictwo Polski powiedzieliśmy; jaka zaś była wolność rozpraw deputowanych Włoskich w Lyonie, Szwajcarskich w Paryżu, w Bajonie junty narodowéj Hiszpańskiéj, historya poucza. Dość nam, że nie w swoim obradowali kraju, ale pod bokiem i dyrekcyą cesarza, przed którego potęgą i wolą wszystko się korzyło i ginało. W jednéj Holandyi ciało prawodawcze nadało krajowi niezawisłą od takich wpływów konstytucyą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Do starca.

Starcze! pamiętasz twego życia ranek,
Jasny, różowy, bez wiatru i chmurek,
Gdyś na zielony wybiegał pagórek,
I z wonnych kwiatków matce splatał wianek?
Czy ty pamiętasz straszne pieśni nianiek, —
Dziwne przygody księżniczek zaklętych, —
Czarnego stracha, — i obrazki świętych, —
I jasne barwy twych mydlanych baniek?
Czy ty pamiętasz wonne siana kopy
Ojczystéj łąki? — lecz na cóż się pytać,
Ty je pamiętasz, radbyś je powitać,
Poznałbyś w piasku twe dziecinne stopy!
O! ty pamiętasz, dziśby cię upoił
Swoim zapachem dym rodzinnéj strzechy;
Pamiętasz piłkę, konika i śmiechy,
I uścisk matki, który łzę ukoił. —

Lecz powiedz starcze, co ci z téj pamięci
Przyjdzie nad grobem? — ja wiem, tybyś wolał
Znów zostać dzieckiem, ciebie cacko nęci,
Boś myślą śmierci twe serce rozbolał.
Dziś twoje usta w pacierzach bez końca,
Chociaż pamięcią po przeszłości tańczysz;
Świat dziś dla ciebie bez wiosny i słońca,
To też nadzieję po za grobem niańczysz.
Tyś znowu dzieckiem, — jak dawniéj marzyłeś
W deskach kolebki, o szczęściu, o wiośnie,
Dziś w deski trumny patrzając żałośnie,
Tylko śnisz znowu, tak jak wtedy śniłeś! —
Ale tam, starcze, za grobową deską,
Tam niema nianiek, cukierków i pieśni;
Tam wilgoć ziemi jest matczyną łezką,
Matką, piastuną, są robaki w pleśni.
Chyba wśród trawy szumiącéj na grobie,
Poskoczy, zaświergoce konik polny,
Po różach grobu dmuchnie wiatr swawolny,
Lecz wtedy już się nic nieprzyśni tobie.
Bo się naśniłeś, nawzdychał ku niebu,
A ze snów twoich tylko pozostało
Jak po jaskółce puste gniazdo, — ciało,
Gdy duch od jego odleciał pogrzebu! —

Starcze! pamiętasz ty młodości chwile,
Uścisk kochanki — i namiętne żądze —
Laurowy wieniec — rozpustę — pieniądze —
Złe — dobre — dzisiaj w przeszłości mogile? —
Ty to pamiętasz, — lecz potrząsasz głową
I mówisz zimno: »Ja byłem warjatem!
»Za rzut źrenicy, za jedyne słowo
»Ładnéj dziewczyny byłbym własnym katem.
»I za dziewczęciem, co się przymiliło,
»Za listkiem lauru, co mi w ucho dzwonił,
»W ogień i wodę lecieć było miło,
»Jam dla nich zdrowie i dostatki trwonił.
»Lecz dziś — mam rozum! — z popielały żądze,
»Dzisiaj z szalonéj śmieję się młodości,
»Z lauru — dziewczęcia — z rozkoszy — *ludzkości*;
»Jam na to zsiwiał, żeby mieć pieniądze,
»Żeby mieć rozum! — lecz nie na to wcale
»By dla *urojeń* iść w ogień lub fale.
»Jam na to zsiwiał, by mi nic niebrakło,
»Niepragnął rozum i serce niełakło.« —

Starcze! masz rozum, powiadasz do tłumu,
Boś zdeptał serce, co dla ludzi biło,
I dzisiaj szydzisz z tego, co się śniło
Biednemu sercu, — bo wśród życia szumu
Tyś się ogłuszył, jak w kaskady szumie;
Pożar żądz twoich oczy ci oślepił,
A teraz, kiedyś w sobie się zasklepił,
Dopiero teraz mówisz o rozumie! —
A wiesz ty, starcze, czemu włosy twoje
Okryte pleśnią? — to symbol, że serce
Spleśniało także, i że to oboje
Rozum i serce, dzisiaj w poniewierce.
Wiesz, — by się śmierci niewstydziły oczy
Pieniądze trupom na powieki kładą;
Starzec, by zakrył duszę nagą, bladą,
Do koła złotym wałem się otoczy.
O! bo rumieńca złoto widzieć nieda,
Trup, dziewczę, starzec, wstyd za złoto przeda!
I ty swą przeszłość przedałeś za złoto,
Przecież i ono niewystarcza tobie,
Gdy się rozstałeś z młodością i cnotą,
Gdy jedna noga już butwieje w grobie,
Ty marzysz jeszcze życie za mogiłą,
I wierzysz w duchy, dla tego, że marzysz;
Swiat okiem zimném, pogardliwém darzysz,
Chciałbyś, by jeszcze za grobem się żyło.
Starcze! tyś dzieckiem, tak jak starcem dziecię,
Oba jesteście w marzeniach bezcelnych,
Oba czekacie tylko dni niedzielnych,
W których się w nowe suknie ubierzecie!
Ale o! starcze, wesoła dziecino!
Częstokroć słota nieda wdziać sukienki,
Bo często oczy różowéj jutrzenki,
Łezkami chmury burzliwiéj zapłyną.

Starcze! ty wszystko pamiętasz tak jasno,
Lecz ciebie pamięć ni grzeje, ni ziębi,
Kiedy krew twoja, twoje nerwy zasną,
Robak zniszczenia siędzie w serca głębi,
Wtedy dopiero wstępując do trumny
Poznasz, że rozum twój powoli gasnął.
Wtedy, ach wtedy powiesz starcze dumny:
»Ach! czemuż ja to w młodości nie zasnął!«

Kiedy po szczeblach życia w górę biegłeś,
Wtedy twój rozum schodził z wysokości,
I raz się z sobą spotkali w młodości,
Na poświęcenia szczeblu go spostrzegłeś.
Ach! wtedy, wtedy umrzeć wypadało, —
Lecz poświęcenia starcze niepojąłeś;
Zdeptawszy ducha, ocaliłeś ciało,
I obojętnie ten szczebel minąłeś. —
Tobie się zdało, że by sięgnąć nieba
Gwałtem na ziemi długo żyć potrzeba.
Lecz się okropnie zmyliłeś w rachubie!
Późno się cofać, — jako młodéj żonie
Odwołać miłość po zawartym ślubie,
Gdy raz już w puchy roskoszy utonie. —
Powiedz mi starcze, — i jakież to plony
Z długiego życia zebrałeś w korzyści?..
Trochę pamięci, — rozum wykrzywiony, —
I z uczuć kilka powiędniałych liści.
A na to wszystko wieje wyziew z grobu,
Odświeżyć siebie, już nie ma sposobu.

Daruj mi starcze, że ja takie słowa
Rzucam z szyderstwem do twojego ucha;
Daruj, — bo moja wymarzyła głowa
Że światu trzeba dziś młodego ducha,
Młodego serca, w wyszuszoném tonie,
I *świeżéj* myśli, na zmarszczone skronie! —

E. W.

Myśl o pismach peryodycznych.

Pismo peryodyczne właściwie prowadzone, jest najpiękniejszém narzędziem dobrego i upominkiem dla ludzkości. Czy jest polityczne, czy literackie, żeby było pożyteczne i czytane, musi koniecznie być postępowe; musi prowadzić znaczną większość czytelników, a nie kulawieć z daleka za nimi. Spędzanie na cenzurę powinno mieć granice. Cenzura mało gdzie postępowi pisma na przeszkodzie stoi. Rząd, który tylko chce uchodzić za cywilizowany, potępia to, co wpływa na obecność, ale nie to, co popiera reformy odległéj przyszłości. Każde więc pismo w miarę przepisów cenzury może się trzymać przyszłości lubo w jednym kraju bliskiéj, a w drugim dalszéj. Prowadzić ogół w postępie jest to, pokazywać mu obraz przyszłości.

W tym celu każdy redaktor powinien ściągać pisarzy przodkujących z myślą, a oddalać gończe talenta. Jeżeli jego pismo jest tylko literackie, główny kłopot będzie miał z recenzyami. Mniéj biegli pisarze lubią w nich pląsać i na imiennych kolegów ze zasadzki rzucać bezimienne pociski. Dla kogo redaktor ma jakie takie uszanowanie, przeciw temu niepowinien pozwalać kroków nieprzyjacielskich w ten niegodny sposób. Jak się zacznie żądać podpisów, to zaraz umiarkowańsze, grzeczniejsze będą zdania. Wciśnie się też rzecz taka, którą prostacy nazywają głupstwem: to już niepójdzie na karb pisma, ale się zamieni w listek do wieńca dla swojego autora: źle jest bardzo, żeby pismo zadzierało z pisarzami miernymi, kiedy są młodzi. Mijając wyższe powody, to już i ten niski będzie miał zasadę, że jak młodzi pisarze nabierają wprawy, trzeba ich przepraszać, nim się w przyjaźń wnijdzie. — Z drugiéj strony do wielkich śmieszności należą recenzye umówione, przyjacielskie, gdzie to przeciwnik, niby zacięty, niby naciera, a widać, że nie wojownik, ale chłopiec w papierowéj zbroi z drewnianym mieczem, co się na kolendę wybrał, żeby duby śpiewał i prawił.

Mają też redaktorowie biedę i z antykwaryuszami, którzy zwykli ludzkość chwytać za fałdy, żeby nie szła, i wołać jéj w uszy, że tacy, co chodzili często, nogi połamali. Rzadki jest antykwaryusz, co wie, że czas wstecz nie płynie, a z gór od spruchniałych gruzów spada i na dolinę w zielone łąki. Antykwaryuszom można przebaczać, bo ta wada z rzemiosła pochodzi; ich brednie już mniéj gniewają; lubi słuchać ich każdy naród, jak swoich dziadusiów.

Często poeci przejeżdżają redakcyom na poprzecz drogę, lecz te o ich cele i zamiary ani się pytać niepowinny. Poeci choć prawią rzeczy najprzeciwniejsze postępowi, to nic nie szkodzi. Oni mają przywilej na inkonsekwencyą swéj duszy. Są wprawdzie zawiśli od wyższéj harmonii, ale to tylko w jedném dziele; ogół zaś ich dzieł bez szkody przyjmuje wszelką mięszaninę. Prowadzący pismo peryodyczne powinien tylko pilnować, żeby mu się wierszopisowie pod tytułem poetów niewciskali. Dziwny smak wieku XIX., że ten rodzaj literatów dawniéj ulubiony w nim obrzydliwość wznieca.

Pismo peryodyczne niepowinno mieć ulubionych osób, ale skoro ma system, niechcący musi się w tych zakochać, z którymi najbardziéj sympatyzuje. Ale niech każdy redaktor przez ogień i wodę od Mecenasów ucieka. Mówił gdzieś Marcialis, że jak będą Mecenasi, będą i Wirgiliusze *) rozumniéj jednak byłby powiedział, będą i pochlebcy. Na tym świecie nic nie ma darmo, uczciwi ludzie wdzięczność poczytują za obowiązek; literaci pracują tylko piórem — czemże inném wdzięczność objawią? I tak kapłani świętéj prawdy nieraz handel nią otwierają, a potomności zamiast źródeł historycznych, gmatwaninę kłamstw przekazują. Mecenasi, Mecenasi, o wy uzurpatorów ministrowie! daliście narodom wiele książek, ale więcéj kłamstwa; geniusze stworzone do rządzenia światem postroiliście w wasze liberye, a usta, które przeciw uciemiężeniu przemówić chciały, pozatykaliście chlebami.

U Polaków było długo, a nad Wartą jeszcze niekiedy podnosi głowę przekonanie, że redaktor, jeżeli chce być słuszny, powinien każdego widzimi się, jako artykuł rozumowany zamieszczać. Przecież redakcya nie jest taczką płatnierską, na którą z wdzięcznością się przyjmuje wszelka starzyzna; nie jest też sądem pisarzy, żeby ich repliki i dupliki uwzględniać potrzebowała, ma zaś wielki i święty obowiązek nie usypiać czytelników.

Kto ogół trzyma na celu, ten z indywiduami często pokwasić się musi; redaktor niepotrzebuje zważać ani na pochwały, ani na nagany. Niech palcem przebiega spis przedpłaty, a dowie się, czy jego pismo wzrasta, czy upada, i w miarę tego niech się ściśle łączy ze swoimi spółpracownikami, lub nowych szuka.

Jęd. M.

*) *Lib. VIII.* 56.

Wyjątki z Stefana Czarnieckiego,

Powieści M. Czajkowskiego dotąd drukiem nieogłoszonéj.

(Dalszy ciąg.)

Wtém trąbka zagrała i przed namiotem kasztelan Kijowski dosiadł białego konia. Tetera żywo przybiegł przed szereg i jednym susem skoczył na skarogniadego — »Panie starosto, Janie, do widzenia się.« — Starościc jakiś znak na migi mu pokazał, a Wąsowicz poprawił czapkę — »Mospanie, tylko niedługo każ na siebie czekać, serduszka nie zostaw przy fraucymerze królowéj imości, bo zaprzedać się kobiecie a djabłowi, to wszystko jedno; człowiek przepadł i dla ludzi i dla Boga.« — »Spuść się na mnie, panie starosto, przy pomocy Bożéj i ztamtąd wrócimy cali i zdrowi na ciele i na umyśle.«

Tu kasztelan przyharcował: słowami i zdjęciem czapki powitał Teterę i ukochanych swoich Semenów, i oni go odwitali hucznym krzykiem, i razem z nim szeroką stępą poszli do Warszawy.

We trzy godziny na szlaku do Piasecznéj powstał gęsty i długi tuman kurzu; starościc jak w tęczę w tę stronę patrzył, a stary Wąsowicz uśmiechał się — »Mospanie, porzuć waszeć te korowody, na nic się niezdadzą, zapadła klamka. Nie trzeba było broić, Jasiu. Stryjaszek byłby dał piernika; inaczéj się stało, waszeć nagrzeszył, piernik się dostał Teterze, a waszeci pstryczek — dula. Niegniewaj się za prawdę; a teraz chodź do mego namiotu, łykniemy miodu, bądź dobréj myśli, przyjdzie czas i na nas.«

Tuman kurzu oddalał się, bledniał, nareszcie znikł zupełnie, kiedy hetman polny na złotogniadym koniu, z tylną nogą lewą białą, z miasta przyjechał z panem kasztelanem Kijowskim. Żołnierze i starszyzna wojskowa na koń wsiedli, a ciury zebrali namioty na wozy i z jucznemi końmi stanęli na boku. Pan hetmann wojsko sprawił na pułki, dwadzieścia ich naliczył saméj konnicy; niemasz ani piechoty, ani armat. Na drogę wyprowadził i linią wyciągnął ku Woli; przednią straż prowadzi pan Krzysztof Wąsowicz z pięcią pułkami lekkich chorągwi pana kasztelana Kijowskiego. Szandarowski z sześcią pułkami pancernych znaków, i z dwoma lekiéj jazdy trzyma środek; pułk kozaków Lancko-

rońskiego przeznaczony do dozoru obozowych wozów i jucznych koni. Dragonia jego królewskiéj mości pod panem starościcem Zakroczymskim ma mieć straż przy królewskiéj osobie, a Michałowi Koniecpolskiemu podczaszemu wołyńskiemu powierzono tylną straż z pięcią pułkami kwarcianego wojska. Pan kasztelan Kijowski mianowany namiestnikiem hetmańskim, sam zaś król jegomość obejmie naczelne rządy nad wojskiem.

Już po południu w ulicy przed zastawą ukazał się Jan Kazimierz na szpakowatym koniu, w nielicznym poczcie dworskiéj służby. Niewidać koło niego synów zamożnych panów, ani samychże magnatów, jak to bywało za dawnych czasów, kiedy Piastowie i Jagiellonowie przywodzili własną osobą wojskom rzeczypospolitéj. Teraz młodzi panicze w miejscu na boje pojechali z królową do Krakowa, a magnaci porozjeżdżali się po swoich domach, pod pozorem, że ztamtąd będą ojczyznie służyć, a w rzeczy saméj swego dobra pilnować i oczekiwać właściwéj chwili pospieszenia po dostojeństwa i łaski królewskie, nie przez nich zarobione. Obok Jana Kazimierza jechał ojciec jezuita Krajewski.

Mieszczanie Warszawy tłumnie odprowadzali króla, i tłumnie wołali: »Miłościwy Panie, nieopuszczaj nas, twoje dzieci. Wracaj do nas, my życia i majątki nasze gotowiśmy poświęcić za ojczyznę i za majestat twojego tronu!«

Jan Kazimierz kłaniał się ludowi na obiedwie strony czapką i uśmiechem, a na twarzy przedtém smutnéj, zaiskrzył się zapał nieznanego męstwa; widać, że z widokiem wojska i wiernego ludu, z ruchem konia, zagrała w jego żyłach krew Jagiellońska i dodała otuchy sercu. W tém rzecz dziwna, jaskółka białawego koloru wyleciała z po za domu, i świegocąc żałośnie trzykrotnym wiankiem okrążyła królewskiego konia, i trzykrotnie ciekawém oczkiem spojrzała w oczy królowi, jak gdyby chciała z tego zwierciadła duszy wykraść tajemnicę myśli. Koń królewski dzielny, ale wyjeżdżony tak, iż słaba białogłowa i dziecię mogłoby nim władać, zchimeryczał, rozparł się i niechciał iść za zastawę miasta. Lud krzyknął: »Miłościwy panie i ojcze nasz, zostań z nami, zwróć królowę z drogi. Zasłoniemy was naszemi piersiami, w oczach waszych będziemy walczyć i zwyciężać wroga!«

Jan Kazimierz niemógł zatrzymać łzy cisnącéj się do oka; tak ciężko kochającemu jego sercu, rozstawać się z kochającym ludem; ale konia spiął ostrogą i pojechał.

Lud wołał: »Zostań z nami!« — ale huk kotłów, brzmienie trąb i powitania jeźdźców zagłuszyły wołanie ludu, i wojsko za królem poszło ku Łowiczowi. — Król jechał smutny, ponury, nic niemówił ani do hetmana polnego, ani do Kijowskiego kasztelana, ani do ojca Krajewskiego.

Rozdział IV.

Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd, jak czmycha, tak czmycha.
Ballada Twardowski Adama Mickiewicza.

Połowa Sierpnia mijała, a Jan Kazimierz jeszcze z wojskiem obozuje w Łowiczu. Z dnia na dzień coraz smutniejsze a smutniejsze wieści przybywają: książę Janusz Radziwiłł, wielki hetman Litewski, przez niechęć ku katolickiéj wierze, ze swojemi odbiegł sprawy prawego króla Jagiellona; oświadczył się z przychylnością ku najezdzcy Szwedowi, i sądząc się być gorliwym kalwinem, stał się niegodnym synem ojczyzny. Gąsiewski z resztkami wiernych Litwinów stawił czoło Moskwie grasującéj po Litewskich ziemiach. Stanisław Potocki, wielki hetman koronny, z panami i szlachtą Rusi, jak mógł trzymał na wodzy Chmielnickiego; Jan Sobieski musiał się rzucić w Lubelskie na Wołyń, gdzie Moskwa z uwiedzionemi kozakami już zaczynała pałamarować. Większa część możnych panów świadomym obyczajem odstępowała Jana Kazimierza, a leciała płaszczyć się przed zabłysłą gwiazdą Karola Gustawa; podłością i zbrodnią chronić swoje majątki, zaskarbiać łaski wroga Polski. Szlachta wielkopolska, małpując panów, zaciągała się pod chorągwie Szweda; lud sarkał, ale nikt go do broni nie wołał. W innych województwach polskim nałogiem szlachta mówiła: jeszcze wróg daleko, jak się zbliży pod nasze wrota to się ruszymy, a wszyscy nieszanowali królewskiéj władzy. Takie było położenie Polski wewnątrz. Zewnątrz król chrześciański w zaciętéj niezgodzie z katolickim monarchą i z Rzeszą niemiecką, wspierał pieniędzmi i przemożną opieką zamiary Karola Gustawa, i kierował go w ślady Gustawa Adolfa; hrabia d'Anoncourt, poseł francuzki, towarzyszył przywłaszczycielowi szwedzkiego tronu, a hugonoci francuzcy służą w szwedzkiem wojsku dla przypodobania się Ludwikowi XIV., który u siebie mieczem i ogniem tępił kacerstwo, a za granicami Francyi najgorliwszym onych był przyjacielem. Pan Brandeburgu pozierał na nieszczęście Polski; nie może jawnie ani za tą ani za ową stroną się oświadczyć, do Polski go wiąże dawne powinowactwo, a potrzeba ciągnie do Szweda. Młody car Alexy mści się za świeże najazdy Polaków na kraj moskiewski; za sprawą zdrajcy Chmielnickiego odciąga kozaków od matczynego łona, i grabieży po polskich województwach. Cesarz Wiedeński choć spo-

winowacony krwią z Janem Kazimierzem, sprzymierzony z Polską wspólną potrzebą odparcia Szwedów, niekwapił się z daniem pomocy, a nawet powchodził w jakieś traktaty ze Szwedem. Rakocy Siedmiogrodzki książe, łechtany nadzieją korony Polski, gotuje się nieść wojnę krajowi, któremu chce panować. Jedyna ucieczka Polski w przyjaźni otomańskiéj porty, i w przymierzu z tatarskim hanem; oni, choć muzułmanie, ludzie dobréj wiary, szczerem sercem kochają Polskę, i szczerą ręką chcą jéj dopomagać, z nimi też pan wielki hetman koronny rozpoczął rozhowory. Do tych nieszczęść dodać należy brak pieniędzy w skarbie publicznym, i oddawna niepłatne wojsko. Jan Kazimierz to widzi i ojcowskie jego serce ciężko się smuci; chciałby zaradzić złemu i odwrócić wojnę od kraju; kasztelan Kijowski zły na zwłokę, ciągle brodę kręci, hetman polny radzi iść przeciw nieprzyjacielowi, ale szanuje wolę króla jegomości.

Po długiem wahaniu się Jan Kazimierz wysłał nareszcie do Kalisza pana Przyjemskiego, podczaszego bełzkiego, z żądaniem od Karola Gustawa, aby ustąpił z polskiéj ziemi. Stefan Czarniecki opierał się temu, ale trudno przeciw wodzie płynąć. Król chciał zgody — a królewskie chcenie to rozkaz.

Hardy Szwed przyjął posła uprzejmie, i odpowiedział, że szanuje Jana Kazimierza, ale że zmuszonym jest, wojować przeciwko niemu, dla swojego dobra i korzyści szwedzkiego narodu — Przyjemski, jaką odebrał, taką i przywiózł odpowiedź, i dodał, że widział na swoje oczy, jak wojewodowie wielkopolscy ściskali kolana Karola Gustawa, zowiąc go swoim panem i dobrodziejem. Doniósł także, że szlachta wielkopolska zbiera się do Piątka, majątku pana Andrzeja Grudzińskiego, wojewody Kaliskiego; tam ma tworzyć pułki na posługi Szwedów, i tam mają ucztą obchodzić przytomność Karola Gustawa i zdrajcy Hieronima Radziejowskiego, niegdyś podkanclerzego koronnego, bannity odsądzonego od czci i wiary.

Słyszał to opowiadanie kasztelan Kijowski i temi słowy rzekł do króla: »Miłościwy królu i panie, pozwól, niech rozpędzę to plugawstwo, i pokażę Szwedom, że Polska ma synów, a ty, miłościwy panie, wiernych poddanych, którzy orężem gotowi się zmierzyć z wrogiem!« — »Panie kasztelanie, znamy twoją gorliwość o naszą sprawę, ale czy nie dobrzeby było, jeszcze raz upomnieć Wielkopolanów, aby wrócili do powinności?« — i wyrazem twarzy pokazywał, jak mu niemiło przelewać krew polską. — Kasztelan pokręcił brodę — »Szablą trzeba opamiętać występnych i błądzących, miłościwy panie; i ojciec choć najlepszy karze jednak różczką przewinienia krnąbrnych dzieci.« — »Ależ braci prowadzić przeciw braciom, bratnią krew przelewać?« — »A więc czekać, żeby oni ze Szwedami na nas uderzyli?« — Stary hetman przystąpił: »Najjaśniejszy królu i panie, przełam twoją dobroć, a dla dobra ojczyzny stań się surowym.« — Smutnie odrzekł król: »A więc jutro pójdziemy.« — Stefan Czarniecki podkręcił wąsa — »Miłościwy panie, pozwól, niech dziś i to zaraz pójdę przodem z Semenami i z chorągwiami lekkiemi przedniéj straży; trzeba chwytać czas.« — »Dobrze, panie kasztelanie, ale po nieszporach; Bogu polećmy się w opiekę. My jutro z panem hetmanem pociągniemy za tobą.« — Czekać do nieszporów, widać nie do smaku panu kasztelanowi, ale nic niepowiedział; niechciał uporem zrażać dobréj woli króla.

W obozie przed swoim namiotem przechadzał się Tetera, ręce w tył założył, czoło schylił ku ziemi. — Czy krok mierzył i liczył, czy się głęboko zadumał; czegoś mu musi niedostawać, bo niechce zetknąć oczów ze światłem, ani głowy wznieść do góry, jak to jego zwyczaj.

Przy ogniskach siedzą kozacy, i w kociołkach jaglaną kaszę skwarzą ze słoniną, i często gęsto patrzą na swojego pułkowódzcę. Wtém jeden z nich się odezwał: »Czy bis przystąpił do watażki, coś on niesamowity, jak gdyby go didko nawroczył; a szkoda, chwacki chłopiec i do konia i do szabli.« — »Widzisz Korniju, zatęsknił za Ukrainą, bo też to nawiedzona ziemia! laski a laski, piaski a piaski; nigdzie stepu, ani mogiły. A naród, jak zacznie gadać, to brzęczy, świszcze i zacina się jak jąkajło; a wszyscy modlą się po łacinie. Gdyby nie watażka, wróciłbym się do domu; u pana Chmielnickiego znalazłby człowiek służbę.« — »Djabli synu milczałbyś,« — odezwał się stary kozak z siwym wąsem — »Chmielnicki, to przeklęta gadzina, i sam sczeznie i naród na przepadłe zawiedzie. Lepiejby było, żeby był wściekły pies świata Bożego nieujrzał. My Polski dzieci, nam Lachów się trzymać, jak koszuli ciała« — »Nie przegniewajcie się ojcze, ja to tak sobie powiedziałem na żart; gdybym ja miał złą dumkę o Lachach, zostałbym na Ukrainie wieszać Lachów, Żydów i Wyzuwitów; ale porzućmy swarzyć się, ojcze Owsiju, my dobrzy ludzie, i Lachy dobrzy ludzie. Niech tylko Bóg da dobre naszéj matce Polsce.« — »O tak, to lubię! ładny z ciebie chłopiec! kiedyś da Bóg, że wywieszamy żydów, taj zrobimy ład; ale co to wy tam gawędziliście o watażce?« — »To my to tak sobie mówili, że jakaś chandra go napadła. Jakeśmy szli do Warszawy, to ptakiem by chciał lecić tam, a jakeśmy

przewodzili królewską żonkę do Solca, to watażka znachodził się, jak przystało na mołodzca; z królową rozmawiał, z hetmańską córką i z panną Potocką chychotali, jakby za stołem na weselu — a wszystkie niewiasty to aż dziwo! oczyma strzygły, ustami cmokały, jak watażka strybnął koniem. Mówili ludzie, że to wszystko wielkie panie, ale nasz watażka czepki mołodziec, gdzie powróć to kozak! królowa była rada z nas, dobra pani, dała groszy na tytuń taj na gorzałkę, a wszystko to sława dla watażki. Ale jemu to nie po myśli; od Solca ani słowa do nas nieprzemówił, jakby to my byli psy, a tutaj tylko z pułkownikiem dragonii czasem rozmawia, ucieka nawet od naszego starego kuma Wąsowicza. Coś to do niego przystąpiło.« — »To fraszka, zwyczajnie ojcowska dziecina, i stary Tetera tak robił, kiedy długo się niebili. Ale niech się no ze Szwedem zdybiemy, to wszystko to przejdzie.« — »Co to za szelmy, ci Szwedzi, i zkąd oni?« — »Szwed a żyd, to wszystko jedno; ta sama wiara, ta sama mowa.« — Tu zaczęli się zbiegać do starego sotnika Owsija — »To nas na żyda wiedzie pan Czarniecki?« — »A na żyda, panowie bracia, tak pewnie, jak dziś słońce świeci.« — »Kiedy tak,« — wrzasnęli wszyscy — »cześć i sława Polszcze i panu Czarnieckiemu, na pohibel żydom Szwedom!«

Wtém przyszedł Kunicki, przyboczny sotnik pana kasztelana Kijowskiego, i oddał rozkaz Teterze, aby był gotów do pochodu. — Tetera rozweselił się, przyszedł przed szereg — No, panowie bracia, do koni, taj do broni, dziś pójdziemy na Szweda!« — Kozacy krzyknęli: »Żyj zdrów ojcze! na pohibel Szwedom!« — i żywo skoczyli do koni. — A stary Owsij rzekł: »A co, widzicie, jak odczadział? taki był i ojciec! jak spoczywali długo w obozie, zły, wszystko mu szło nie w smak, ani przestępuj do niego; ale kiedy krzyknęli na koń, to był wesoły, hulaszczy, jak gdyby cztery garnce starego miodu wypił; w dziecku krew ojca zawsze się odezwie prędzéj czy późniéj. Jaki djabeł był ojciec, taki djabeł będzie i syn.«

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Korrespondencya.

List Trentowskiego do redaktora Tygodn.

(Dokończenie.)

Polacy, drodzy ziomkowie moi! Skarzmy się na smutny los nasz, ale nie przeciw sobie nawzajem. Ja płaczę nieraz chociaż nie jak dziecko, to jak męczennik, suchą, do rdzenia muzgu piekącą łzą, że pisać po niemiecku muszę, ale przecież po niemiecku piszę, bo to dziś moja powinność. Dla tego też i Tygodnik pokazałby więcéj znajomości ludzi, doświadczenia i czucia, gdyby się litował nad nieszczęściem owych, co są zmuszeni pisać w obcéj mowie, zamiast deptać nogami, serca te tyle skołatane. Ach, ja niewierzę żeby którykolwiek Polak pisał w cudzym języku z radością! Pisze, bo musi. Kto z nas pisze, ten zdolniejszy, ten musiał już pierwéj zasmakować w ojczystéj mowie. Nie wyszliśmy zagranicę dzieckiem, ale znanym w Europie żołnierzem. —

Piszę po niemiecku i pisać będę, ale nawet i w tém położeniu nieprzestaję służyć méj ojczyznie. Nie sława mojego imienia, ale sława mojego narodu jest mi bodźcem do pracy. Jeszcze w Polsce poświęcałem się filozofii, czytałem Platona, Arystotelesa, i wszystko co Grek w tym przedmiocie napisał; czytałem Kartezyusza, Bakona, Spinozę i to, co w łacinie znaleść się mogło; czytałem ojców kościoła bogobojnych, i bezbożnych encyklopedystów francuzkiego ludu. W końcu uczyłem się na gwałt niemczyzny i już poznałem w części Hegla, Szlajermachera i Marheinekego, nim wybuchła rewolucya nasza. W téj pracy przyszła mi myśl pierwsza, duchem ojczystych Bogów natchniona, nowego filozoficznego systemu. W Niemczech przerzucałem długo sławne i niesławne systemata wszystkie i nic podobnego do myśli méj pierwotnéj nie znajduję. Niedaję się zatém wtrącić w kajdany germańskiego jeniuszu, piszę i ogłaszam mą pracę za filozofią polską, filozofią powszechną, wyższą od jednostronnych spekulacyj niemców, za filozofią wschodu i zachodu, za filozofią wszystkich narodów ziemi. Parzę realność z idealnością w rzeczywistości, fizykę z metafizyką w filozofii, doświadczenie z umysłowością w poznawaniu, praktykę z teoryą w synezie. I dzieło moje sprawia wrażenie i mnóstwo recenzyj rozpisuje się pro i contra. W Izydzie Okena życzy mi recenzent wytrwałości, zapewnia że jeźli mi się uda system mój rozwić i w całéj świetności rostoczyć, to pomszczę się niejako za upadek méj ojczyzny i w historyi wyższéj jak zwyczajna, zapiszę imię Polaka. O Boże! gdyby mi się udało zająć raz w Niemczech miejsce Szellinga lub Hegla i wtrącić dumny lud niemiecki, nie wiele w głowę Sławian wierzący, w polskie dyby mojego myślenia; wtedy, wtedy bracia, osądzi kiedyś Polska, czyli dla niéj nieżyłem, czy dla jéj imienia nie pracowałem! Polski język nieznany za granicą i zupełnie zaniedbany; można więc w pewnych razach nierównie więcéj przysłużyć się Polsce w obcéj mowie, jak we własnéj. *Dziś narody stają się powoli jedną rodziną; poznać się więc muszą i potrzebują tłumaczów. Nie Niemiec ale Polak Polaka tłumaczem być zdoła! Kto tego niepojmuje, temu krzyknąć można: do gęsi polskich, do gęsi!*

Wreszcie niewyrzekam się wcale języka polskiego i żyję od dawna słodką nadzieją, że kiedyś bezpośrednio ojczyznie méj służyć i w jéj mowie pracować będę. Przyjdzie czas, to moja wiara, w którym mię do Polski wezwą, wolność zupełną wykładu dadzą, w którym mi więc równie łatwo po zebranych dla prelekcyj materyałach pisać po polsku będzie, jak teraz po niemiecku. O bracia! Dajcież mi dziś jeszcze katedrę Uniwersytecką śród was, a porzucam natychmiast wszystkie inne me plany, przenoszę się do was, żyć i pracować dla was będę! Nim jednak coś podobnego nastąpi, piszę i pisać będę po niemiecku. Szydźcie zemnie, potępcie mnie na wieki wieków, wyklnijcie jak renegata; wszystko nic nie pomoże! Nieszczęście jest najwyższą akademią człowieka. Tu nauczyłem się pogardzać opinią publiczną, tym krakiem gawronów; tu uczułem dzielność własnéj woli, tu nabyłem własnego zdania, rozwinąłem moją indiwidualność, mój świat! Dopełnię więc mojéj powinności, choćby mię ziomkowie moi na infamią, jak pradziad nasz mawiał, wskazali. —

Za granicą pisałem dotąd tylko po niemiecku lub po łacinie, bo inaczéj niemogłem. Teraz kiedy się już parę dziełek i pewną massę rękopismów zebrało, kiedy do druku leżą, że tak powiem, gotowe papierów góry, postanowiłem po każdém wydaném dziele niemieckiém, przynajmniéj małą

rozprawę w języku polskim wypracować i w Twojem piśmie umieścić. Skoro kiedyś zostanę w Niemczech płatnym professorem i potrzeby mojéj familii zabespieczę, pisać będę i większe dzieła w języku polskim. Bracia! To moje słowo honoru. Co przyrzekam, to dotrzymam, jeżeli życie i zdrowie dozwolą. Głowa panuje u mnie w prawdzie nad sercem, bo panować powinna; głos serca jest mi przecież święty, jak Mojżeszowi głos Boga śród pustyni i t. d. — — —

Twój przyjaciel

Trentowski.

Doniesienia literackie.

Pan Juliusz Słowacki pracuje (jak nam donosi) nad nowym dramatem polskim pod tytułem: Mazepa. — Jego życzeniu, abyśmy odwołali doniesienie, iż i on należy do redakcyi Pszonki czynimy niniejszém zadosyć.

Jan Czyński wydał w tych dniach nową broszurkę: *Colonisation d'Alger d'après la théorie de Charles Fourier.* Tenże wydaje nowe pismo »*le nouveau monde*« które wykładowi teoryi społecznéj Karola Fourier jest poświęcone; — do redakcyi tego pisma wpływają także Clouard, Leon Gozlan, A. Guillod, A. Collin, Eug. Sturm i inni. Broszurka Czyńskiego »*Avenir des ouvriers*« wyszła w czwartém wydaniu i została już na język niemiecki, portugalski i angielski przełożoną.

Jan Omieciński wydawać będzie w Paryżu od nowego roku nowe pismo czasowe. Obawiamy się bardzo, aby pismo to nie miało dążności pietystycznéj czyli wyraźniéj jeszcze jezuickiéj. Obawę tę wzbudziło w nas dziełko p. J. Omiecińskiego »kilka słów o rozprawie Janusza Woronicza.«

W Troyes wyszło następujące dziełko: *Triumvirat aboli, ou les Polonais à Dantzik narrodrame (!) en trois actes par Alex. Warkuliewicz.* Pewne pismo donosząc o niém dodaje, iż zaleca się brakiem zupełnym sensu i że może rywalizować z inną broszurą p. Miturzyńskiego, któréj nazwa: 57 przeciw 55,392. —

Z Warszawy donoszą o wyjściu przekładu poezyj Wiktora Hugo przez Brunona Kicińskiego., Tamże wyszła część pierwsza tomu pierwszego dzieł Jana Śniadeckiego wydania Balińskiego. Tom 2gi aż do 7go, jak już donieśliśmy, wyszły dawniéj i zawierają wszystkie pisma Jana Śniadeckiego. —Tom pierwszy zawierać będzie »Żywot uczony i publiczny Jana Śniadeckiego przez M. Balińskiego.

Z nowszych dzieł w Wilnie wydanych zasługują na wspomnienie: Tom III. dzieła »J. Strumiłły Ogrody północne; Narbutta. Tom V. dzieła »Dzieje narodu litewskiego od śmierci Gedymina do bitwy nad Warsklą z 4ma rycinami na kamieniu; Piosnki wieśniacze z nad Niemna i Dźwiny.« Zapowiedziany jest nowy romans Kraszewskiego »Całe życie biedna« i tegoż »Wspomnienia z Polesia i Wołynia.« — Grabowski ma zamiar wydawać pismo peryodyczne »Przeglądnik.«

Cornelius ukończył w tych dniach swój wielki obraz nad którym cztery lata pracował; przedstawia on sąd ostateczny. — Bendemann pracuje obecnie nad obrazem Lothara II.

Wdowa po Hoffmanie wydaje powieści tego jenialnego pisarza, pisane w ostatnich 5ciu latach jego życia. — Wydanie to będzie uzupełnieniem wydania w dziesięciu tomach które dawniéj w Sztutgardzie wyszło. Tomik pierwszy wyszedł w téj chwili i zawiera biografią Hoffmana, napisaną przez Hitziga i kilka powieści nadzwyczaj zajmujących.

Świata dramatycznego wyszedł poszyt 11sty tomu drugiego, zawiera: Bankolo, czyli: jałmużna artysty (dokoń.) Belfegor, powieść z dzieł Löwe-Weimars. Pani Persiani (skic biograficzny) i t. d. Pismo to i w roku przyszłym wychodzić będzie.

Liszt będzie w przyszłym miesiącu w Berlinie; — Hektor Berlioz oczekiwany jest w Lipsku gdzie dramatyczne Symfonie jego wykonane być mają.

(*Nadesłano*).

Gdzie głosy cz i sz lud prosty dobitnie wymawia.

W Nrze 26. Tygodnika literackiego na rok bieżący wychodzącego, znajduje się wyjątek z listu o przyjaciołach Słowian w Warszawie, w którym pomiędzy innemi autor listu tegoż nadmienia, że pan Kucharski, co przez lat 5 po słowiańskich krajach podróżował, a teraz katedrę literatury słowiańskiéj w Warszawie ma objąć, zapytany, czyli jest okolica w Polsce, gdzieby lud prosty głoski *cz* i *sz*, jak w dyalekcie klassy wyższéj wymawiał, miał odpowiedzieć: iż, ile mu się słyszyć zdarzyło, okolicy takiéj nie ma.*) Musiał atoli pan Kucharski kolebki narodu Polskiego, to jest Wielkopolskę, albo wcale nie zwiedzić, albo też na mowę tamtejszego ludu wiejskiego, czyli tak nazwanego prostego nie zważać; inaczéj bowiem byłby się przekonał, że wieśniacy na około Poznania mieszkający jak najdobitniéj głosy *cz* i *sz* wymawiają, — a nawet słuch ich pod tym względem tak jest drażliwy, że wyśmiewają tych, którzy szeplenią, czyli, jak się wieśniak nasz wyraża, mazurzą. — Chwała Bogu, że nie mazurzymy, albowiem my Poznaniacy nieszlachta, musielibyśmy się podług pana Kucharskiego wyprzeć imienia polskiego, i radzi nie radzi rodowód nasz aż z Litwy wywodzić, coby atoli przy zupełnym braku archiwów w puszczy Białowiezkiéj nie łacno uskutecznić można. *P. D.*

*) Że i redakcya Tyg. lit. Kucharskiego twierdzenie za śmieszne uważa, okazała to umieszczając przy niém wykrzykniki i znaki zapytania. *Przyp. red.*

Z bieżącym miesiącem kończy się trzeci i ostatni kwartał tomu drugiego Tygodnika literackiego, który i nadal tak jak dotąd wychodzić będzie. Szanowni prenumeratorowie, którzy złożyli na ten kwartał tylko przedpłatę, raczą, jeżeli przerwy w odbieraniu numerów nie chcą doznać, ponowić ją na przyszłe półrocze.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*